Rok 1901. Lwów, 20. Stycznia Nr. 3.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

PREMIE
„TYGODNIKA NARODOWEGO"

Każdy Prenumerator, zamawiający „Tygodnik Narodowy" na cały rok 1901, otrzyma jako **premię bezpłatną** jedną z następujących powieści Wojciecha hr. Dzieduszyckiego do wyboru, a to:

„Mięszane małżeństwo" . . .	3 tomy
„Święty Ptak"	2 tomy
„W Paryżu"	2 tomy

Nadto każdy Prenumerator, uiszczający należytość z góry za cały rok, otrzyma jako drugą **premię bezpłatną:**

ALBUM

zawierające 10 kartonów z reprodukcyami najwspanialszych dzieł nowoczesnych malarzy.

Nadto każdy Prenumerator „Tygodnika Narodowego" (nawet miesięczny) otrzyma illustrowany kalendarz „**LWOWIANKA**" za przesłaniem do Administracyi kwoty 15 ct. (na opakowanie i koszta przesyłki).

„GAZETA POLSKA"

jedyne polskie czasopismo polityczne

wychodzące od r. 1883 dwa razy na tydzień w Czerniowcach

» « « « « « « « « « « pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego » » » » » » » » » » »

jest organem organizacyi politycznej „Koło polskie na Bukowinie".

PRENUMERATA „GAZETY POLSKIEJ" WYNOSI:

w Austro-Węgrzech rocznie kor. **20.** — półrocznie kor. **10.** — kwartalnie kor. **5·50.**

Prenumeratorowie „Gazety Polskiej" mogą otrzymywać „Tygodnik Narodowy" po cenie zniżonej:

rocznie kor. **12,** — półrocznie kor. **6,** — kwartalnie kor. **3.**

Prenumeratę i ogłoszenia do „Gazety Polskiej" należy przesyłać pod adresem:

Administracya „Gazety Polskiej" w Czerniowcach, ul. Główna 10.

Rok 1901. Lwów, 20. stycznia. Nr. 3.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 3:

Od Administracyi.

Szanownym Czytelnikom, którzy uiścili przedpłatę za cały rok z góry, donosimy, że premia (Album) będzie gotową z końcem bieżącego miesiąca i natychmiast rozesłaną. — Drugą premię bezpłatną (jedną z powieści hr. Wojciecha Dzieduszyckiego) można otrzymać już obecnie po nadesłaniu 40 halerzy w znaczkach pocztowych na opłatę przesyłki.

Prenumeratorowie, którzy złożyli tylko częściową należytość, otrzymają powieść hr. Dzieduszyckiego dopiero przy zapłacie prenumeraty za ostatni kwartał roku bieżącego.

Zwracamy uwagę, iż każde z dzieł, przeznaczonych na premię, w cenie księgarskiej równa się prawie wysokości całorocznej prenumeraty „Tygodnika“.

Jubileusz pruski.

Na dniu 18. bm. upłynęły dwa wieki od chwili, kiedy były lennik Rzeczypospolitej polskiej, książę pruski, wyzyskując przykre położenie dworu austryackiego, wyjednał aprobatę do koronowania się na pruskiego króla. Za przyrzeczoną Austryi pomoc wojskową zdobył ten tytuł i żelazem utrzymał go do tej pory, a nawet powiększył tytułem cesarza Rzeszy niemieckiej. Niedziw, że 200-etny jubileusz królestwa Wilhelm II. święcił uroczystościami, wyłącznie wojskowemi: za wszelkie argumenty powstania królestwa pruskiego służyła stal szabel i bagnetów, niemi utrzymywała się przez lat dwieście i one też jedynie święcą jubileusz swej chwały. Zaprzysiężone śluby, przysięgi lennicze, wola ludów — poszły w niepamięć, a hasło „siła przed prawem“, które stworzyło Prusy, ostało się po dziś dzień i tryumfuje.

U stóp tego tryumfatorstwa w królewskiej koronie leżą wynarodowione przez krzyżactwo resztki społeczeństwa zachodniej Słowiańszczyzny, a za rydwanem zwycięzcy kroczą mieszkańcy dzielnicy Rzeczypospolitej polskiej, tej samej, której ongi Albert ślubował wiarę i posłuch w swojem i następców swych imieniu — po wieczne czasy!

Siła przed prawem. Na uroczysty tryumf takiego właśnie powstania i istnienia pospieszyli do Berlina i poseł onej „opiekunki w oczach Słowian“. Rosyi i reprezentanci wszystkich mocarstw europejskich, ażeby winszować i cieszyć się „pełnemi chwały“ dziejami korony pruskiej...

Że ludu pruskiego od wieków już niema, bo go wytępił doszczętnie miecz krzyżacki, że państwo to niemiecko protestanckie stoi na gruncie obcym, który nigdy nie był i nie jest niemieckim, że to jest święto szczęśliwie dokonanych zaborów na obcych narodach, — o tem wiedzą wszyscy, ale — siła przed prawem... Nastały czasy takie, iż nie sprawiedliwość dziejowa i etyka moralna, ale fakt dokonany decyduje o — tryumfie sprawy. Zresztą polityka a sprawiedliwość, to dwa pojęcia, które w dziejach ludzkości nieczęsto się identyfikują.

Powiedział już ktoś, że pruski jubileusz jest świętem parwenjuszów, co pragną koniecznie zaimponować światu. Rzeczywiście też, wnosząc z przebiegu uroczystości, trzeba przyznać, iż wielu przybrało minę taką, jak gdyby im istotnie zaimponowała ta jedyna w swoim rodzaju rocznica. Nie olśniła jednak tych właśnie, którzy nie istnieją nawet na politycznej mapie Europy: ludów, ujarzmionych przez Prusy, a pamiętających dobrze jeszcze parwenjuszowstwo dzisiejszego tryumfatora. Jubileusz królestwa pruskiego nie wzbudzi w nas ani podziwu, ani — zazdrości. Są tryumfy, jest rozgłos i wielkość, których się nie zazdrości nikomu...

Prawie równocześnie z rocznicą pruską my święcimy rocznicę ostatniej walki polskiego narodu o wolność; a nasze święto jest, jak protest wobec narodów i wobec Boga podniesiony przeciw tryumfom gwałtu i niesprawiedliwości ludzkiej. I jest pewien związek między temi rocznicami tryumfatora i ujarzmionego, — gdy na płynące z Berlina hasło *Vae victis*, ze wszech ziem polskich wstaje głos: „Nie zginęła!“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Skład nowej delegacyi.

Ukończone w Galicyi wybory do rady państwa zmieniły częściowo zarówno stosunek stronnictw dotychczasowych, jak niemniej skład osobisty.

Z 78 wybranych posłów do Koła polskiego wstąpi napewne 60 (nadto jeden ze Śląska), jeżeli nie będziemy reflektowali na posłów ludowych. W dawnej radzie państwa Koło liczyło 56 członków. Stojałowszczyków wybrano obecnie 6 (było ich dawniej 7), ludowców 3 (było 4), Rusinów 8 (było 9) socyalistę 1 (było 2) a nadto wszedł przedstawiciel nowego kierunku: jeden radykał polski.

Z dawnych posłów weszło napowrót do izby 46, a to:

Abrahamowicz Dawid, Abrahamowicz Eugeniusz, Binder, Barwiński (Rusin), Błażowski Juljan, Błażowski Maryan, Bojko, Byk,

Ćwikliński, Czecz, Danielak, Daszyński, Dzieduszycki Wojciech, Garapich, Giżowski, Gładyszewski (Rusin), Gniewosz Włodzimierz, Górski, Henzel, Jaworski Apolinary, Jędrzejowicz, Kolischer, Kozłowski, Krempa, Kubík, Mandyczewski (Rusin), Merunowicz, Moysa, Pastor, Piepes-Poratyński, Piętak, Popowski, Potocki, Potoczek, Rappaport, Roszkowski, Sapieha, Struszkiewicz, Stwiertnia, Szajer, Szeptycki, Tyszkowski, Walewski, Weigel, Weiser i Wielowiejski.

Niewybranych ponownie jest 32: Bogdanowicz, Borkowski, Cena, Czarkowski-Golejewski, Dulęba, Fiszer, Gniewosz Władysław, Goetz-Okocimski, Jarosiewicz (Rusin), Karatnicki (Rusin), Kozakiewicz, Lewicki, Milewski, Nawrocki, Ochrymowicz (Rusin), Okuniewski (Rusin), Olpiński, Piliński, Rojowski, Rosenstock, Rutowski, Rychlik, Sokołowski, Stapiński, Stojałowski Stanisław, Szponder, Taniaczkiewicz (Rusin), Trachtenberg, Wachnianin (Rusin), Winkowski, Zabuba i Znamirowski.

Na ich miejsce weszli nowi: Bomba, Breiter, Chamiec, Czaykowski, Dłużański (Rusin), Doboszyński, Dzieduszycki Karol, Fijak, Gołuchowski, Grek, Jabłoński, Jaworski Bazyli (Rusin), Komorowski, Korol (Rusin), Kos (Rusin), Królikowski, Niementowski, Olszewski, Opydo, Piniński, Romańczuk (Rusin) Romanowicz, Rotter, Seinfeld, Sozański, Starzyński, Stojałowski (burmistrz), Wilk, Własowski, Wodzicki, Wojtyga i Żyguliński — razem 32.

Z pośród nowych posłów przypada: na kuryę wielkich posiadłości 4, na miasta 6, na kuryę wiejską 12, na kuryę ogólną 10; razem 32.

Pod względem zawodów, do których należą nowowybrani posłowie, można ich ugrupować w sposób następujący. Wybrano: rolników 38, z tego 9 włościan; 3 większych przemysłowców; 1 finansistę; adwokatów 7; nadto prawników 2; sędziów 5; profesorów uniwersytetu 3; prof. gimn. 2; duchownych 5 (z tego rz. kat. 4), fachowców kolejowych 1 (drugi urzędnik kolejowy wliczony do inżynierów); urzędnik skarbowy 1; dziennikarzy 5.

Gimnazyum polskie w Cieszynie.

Gimnazyum polskie w Cieszynie na bieżący rok szkolny nie posiada jeszcze prawa publiczności.

Jak wiadomo, zakład prywatny, w rodzaju gimnazyum naszego w Cieszynie, musi co roku na nowo otrzymać przywilej „publiczności“, a to na podstawie sprawozdania inspektora szkolnego, który na odbytej wizytacyi zakładu stwierdzić ma, czy szkoła prawidłowo funkcyonuje, czy trzyma się planu lekcyjnego, czy ma przepisaną liczbę uzdolnionych sił nauczycielskich itd. Co roku też odbywa taką wizytacyę w naszem gimnazyum, podlegającem, jak wiadomo, władzy Rady szkolnej w Opawie, i co roku składa sprawozdanie do ministerstwa oświaty dotyczący inspektor szkolny. W zeszłym roku odbyła się taka wizytacya jeszcze w dniach 3, 4, 5 i 6 grudnia.

Nie można pominąć milczeniem koniecznej potrzeby upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie. Tym posłom polskim, którzy w swoich mowach kandydackich tę potrzebę podnosili, przypominamy, że powinni przyłożyć rękę do spełnienia dzieła, którego zaniedbywanie jest wprost hańbiącem dla naszej delegacyi.

Dyskusya polska w sejmie pruskim.

W Izbie deputowanych sejmu pruskiego toczyła się podczas rozprawy budżetowej ciekawa i wielce znamienna dyskusya nad kwestyą polską. Jażdżewski ubolewał, że tak źle jest z rolnictwem. Stronnictwo jego zbada przedłożenie o kanałach pod względem ściśle rzeczonym. Mowca zarzucał ministrowi spraw wewnętrznych, że koleje państwowe w Poznańskiem otrzymały polecenie pisania po niemiecku nazwisk polskich. Jakkolwiek minister skarbu rzekł, że się chce z niego zrobić kozła ofiarnego, to jednak nie może on zaprzeczyć, że jest odpowiedzialny za większą część zarządzeń antipolskich. Wydane przez ministra oświaty rozporządzenia o nauce religii są niezgodne z konstytucyą.

Minister skarbu Miquel odpowiedział: „Zbyt wiele doświadczeń mieliśmy już w tej mierze, ażebyśmy mogli uwierzyć, że Polacy są tylko barankami i gnębionymi, zaś Niemcy dzikiemi zwierzętami. Pan Jażdżewski upatruje we mnie głównego złoczyńcę. Otóż rząd cały w swych zarządzeniach czuje, że jest w zgodzie z przeważającą większością narodu. Pozostawiliśmy Polakom swobody, ale nie doczekaliśmy się wdzięczności. Polacy wyodrębniali się od Niemców, oni więc sami ponoszą winę.

„Długo trwało, zanim Niemcy na wschodzie państwa złączyli się do obrony. Prusy nie mogą zezwolić na to, ażeby kraje, które tak blisko Berlina są położone, były stracone dla niemieckości. Celem naszym jest podniesienie dobrobytu, zamożności i kultury (?!). Polacy ostatecznie przyjdą z pewnością do przekonania, że nigdzie im nie będzie lepiej, niż pod berłem Hohenzollernów (!!!)“.

Minister oświaty Studt również odpowiadał Jażdżewskiemu. Rzekł on: „Porozumienie się z Polakami uważam za zupełnie wykluczone. Nie będę się jeszcze raz wdawał w szczegółowe omówienie zarzutów p. Jażdżewskiego. Polacy całkiem zapominają o tem, jak wielką wartość ma język niemiecki dla powodzenia ich dzieci w póżniejszym życiu. Marzą oni o odrodzeniu się narodowem. Czyż wobec tego można brać na seryo zapewnienie, iż są lojalnymi obywatelami państwa? Prusy od 100 lat są domem silnie zbudowanym. Pozostaniemy — jak Bóg da — w tym domu, w którym dzięki pilności niemieckiej tak wygodnie można mieszkać“.

Watykan a Francya.

List Ojca św. do arcybiskupa paryskiego, stający w obronie zagrożonych kongregacyi zakonnych we Francyi, które tyle pożytku narodowi temu w toku dziejów przysporzyły, był przedmiotem żywych rozpraw we francuskiej izbie deputowanych.

P. Sembat powoływał się z powodu opublikowania listu Ojca św. do kardynała Richarda na artykuł 207 kodeksu karnego i zapytał, coby rząd uczynił, gdyby inny panujący zagraniczny w podobny sposób wmieszał się w sprawy wewnętrzne Francyi?

Ribot zaprzeczył twierdzeniu, jakoby którykolwiek artykuł kodeksu karnego dał się zastosować do opublikowania listu papieskiego. Ojciec św., jako głowa Kościoła, ma wszelkie prawo do czuwania nad interesami, powierzonemi jego opiece. W końcu wyraził Ribot nadzieję, że gabinet nie zechce solidaryzować się z tak wysoce kompromitującem wystąpieniem swoich przyjaciół.

De Ramel oświadcza, że list Ojca św. jest aktem najzupełniej legalnym. Ministeryum musi to uznać. W r. 1883 prezydent Frévy wprost zawezwał Ojca św., aby wmieszał się do spraw wewnętrznych Francyi, pisząc w pamiętnym swoim liście: „Wasza świątobliwość wywiera bowiem potężny wpływ na przeciwników rzeczypospolitej“. Wówczas Waldeck-Rousseau był ministrem i niepodobna, aby o tym liście nie wiedział.

Teraz zabrał głos prezes ministrów Waldeck-Rousseau. Rząd nie widzi w liście Ojca św. pogróżki, wszakże uchwalenie ustawy o kongregacyach religijnych uważa za konieczne i dlatego nie może dopuścić żadnej interwencyi Watykanu w tej mierze. Ojciec św., jako głowa Kościoła, ma swoje prawa, ale i państwo ma także swoje prawa, zabezpieczone w konkordacie, których rząd naruszyć nie pozwoli. Rząd szanuje zasadę tolerancyi, zarówno jak zasadę udzielności państwa.

Waldeck-Rosseau oświadczył na końcu swej mowy: Ponieważ wszystkie formuły wyrażają zaufanie do rządu, izba sama niech raczy pomiędzy niemi wybierać. Którakolwiek będzie uchwalona, zaufanie izby do rządu będzie stwierdzone.

Głosowano naprzód nad porządkiem dziennym Labatula, który opiewał:

„Izba przyjmuje z uznaniem do wiadomości oświadczenia rządu i liczy na jego energię w zabezpieczeniu praw państwa“.

Pierwszą część tego wniosku uchwalono 429 głosami przeciw 95, drugą 310 głosami przeciw 92.

Wniosek radykalistów, żądający rozdziału Kościoła od państwa, obalono 351 głosami przeciw 146.

Chińskie odszkodowanie wojenne.

Państwo niemieckie wydało dotychczas na cele ekspedycyi chińskiej 152 miliony marek. W memorjale, przedłożonym parlamentowi, wynurzone jest przekonanie, że kwota powyższa zostanie zwrócona przez Chiny.

Oczekiwać należy, że wkrótce i inne państwa przedłożą swym parlamentom specyalne rachunki na conto chińskie. Trybunał mocarstw interweniujących ferował bowiem wyrok, że Chiny winny zapłacić poszczególnym państwom nie tylko koszta wyprawy, ale także wynagrodzić wszelkie szkody, które prywatne osoby i korporacye poniosły z powodu zawichrzeń chińskich.

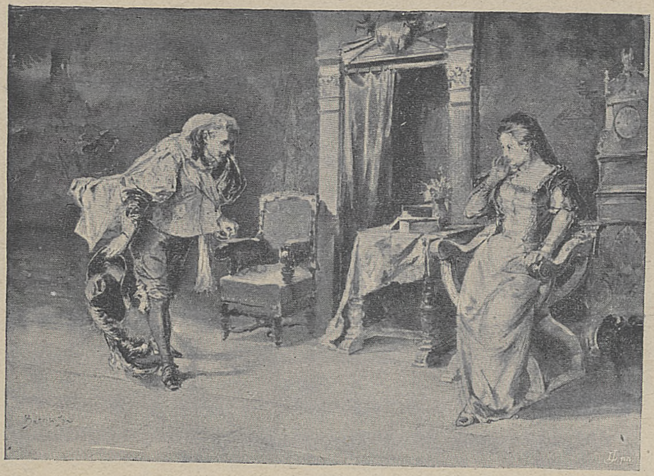
Ambasadorowie w Pekinie oznaczyli dług Chin wobec mocarstw na sumę 600 milionów taelów, co wyniesie na korony — licząc tael = 3 korony — poważną kwotę 1.800,000.000 koron. Jest to dopiero propozycya państw interweniujących, ale to pewna, że Chiny stosowne odszkodowanie zapłacić będą musiały.

Zachodzi teraz pytanie, skąd Chiny wezmą pieniądze na zapłacenie kolosalnego okupu, do którego dojdzie jeszcze poważna kwota, potrzebna na reorganizacyę zaniedbanej administracyi.

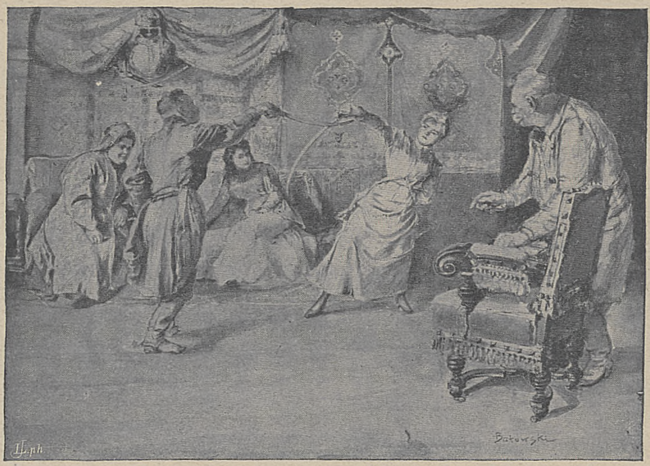
Wewnętrzną pożyczką pokryć tej ogromnej sumy Chiny nie są w stanie, nie pozostanie zatem rządowi chińskiemu nic innego, tylko szukać pożyczki w Europie, lub bogatej Ameryce.

Jest też tylko kwestyą czasu, kiedy Chiny zapukać będą musiały do targów światowych o nową pożyczkę; i tu leży ironja losu, że potężne Chiny, w których łonie dziewiczym znajdują się nienaruszone jeszcze skarby, czekające na wydobycie, nie mogą na samo słowo uzyskać pożyczki, ale raczej szukać pośrednictwa mocarstw interweniujących.

Illustracye St. Kaczor-Batowskiego do powieści H. Sienkiewicza.



Krzysia poznaje Ketlinga.
(„PAN WOŁODYJOWSKI“)



Wołodyjowski uczy Basię fechtów.
(„PAN WOŁODYJOWSKI“.)



Do Wodoktów!
(„POTOP“.)



Zbyszko ślubuje Danusi.
(„KRZYŻACY“.)

Illustracya Wł. Tetmajera.



Pan Zagłoba odnajduje Wołodyjowskiego w klasztorze.
(„PAN WOŁODYJOWSKI“.)

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Przybyli zaczęli się nawzajem szturkać łokciami, pobudzając jeden drugiego do przemowy, aż wreszcie przemówił gruby krawiec kulawy:

„Ot, co tu dużo mówić, panie Beńkowski! — rzekł — Zasłużyłeś się pan nam, a my chcemy być wdzięczni. Spotkało cię nieszczęście. Nierób sobie pan nic z tego: kto kocha swój kraj, a pracować umie i chce, temu dopomoże społeczeństwo. A jak ono nie dopomoże — to pomożemy my, rzemieślnicy. Więc myśmy, panie Beńkowski, przyszli, aby ofiarować naszą pomoc.“

To mówiąc, krawiec rozwinął związane w czarne płótno zawiniątko i wyjął z niego dwie pary nowych butów, kompletne ubranie marynarkowe, kapelusz i jakieś jeszcze drobiazgi. Oddając to w ręce Stasia, mówca dokończył: „Gdy się pan dorobi — to nam pan za to odda. A teraz niech pan przyjmie od nas i te kilka marek, któreśmy zebrali między sobą, jako chwilową zapomogę. — Naturalnie, jako pożyczka, nie inaczej“ dodał, widząc odmowny gest Beńkowskiego.

Beńkowski był tem w pierwszej chwili tak zdumiony i rozrzewniony, że nie mógł się odrazu zdobyć na słowo odpowiedzi. Aż wreszcie podziękował im, powiedział z pewnem wahaniem, że udzielenie kredytu na rzeczy przyjmuje, ale przyjęcia pożyczki w pieniądzach stanowczo odmówił.

Goście posiedzieli u niego jeszcze chwilę. Rozmowa toczyła się naturalnie w zakresie polityki.

„Zobaczycie, mówił gruby krawiec, że tych szelmów Prusaków w Chinach połtłuką. A jeźli z tego wywiąże się wojna europejska, to naszą prowincyę z pewno ścią wezmą Moskale. A niech biorą! — Z Bogiem! Już jeżeli nie możemy być wolni, to zawszeć lepiej razem. A Niemcówby się elegancko stąd wyekspedyowało“.

„Co to za głupie gadanie“, przerwał kolega szewc, że nie możemy być wolni! Zobaczycie! Zobaczycie! Jeszcze my dożyjemy tych czasów, kiedy socyalna-demokracya skręci łeb temu systemowi rządzenia i sama rządzić będzie. A we Francyi Millerand to co? a jak socyalna-demokracya zwycięży, to“ —

— „Macie go, z socyalną-demokracyą wyjeżdża!“ odciął się krawiec. „Abo to pan sam nie mówiłeś, że socyalna-demokracya nic nie warta, dopóki się jej na chrześcijańskich zasadach nie oprze i żydów z niej nie wyrzuci?“

„Mówiłem, to prawda — chciał się bronić szewc — ale...“

„Co tam ale! niema żadnego; ale! Owszem, niech nas Rosya bierze! z gustem! Zupełnie tak samo, jakby dwóch więźniów, siedzących w oddzielnych klatkach, przez otwór w murze połączyło swoje więzienia. Wprawdzie oni z więzienia nie wyszli przez to, że się mogą komunikować, ale“...

Dalszą sprzeczkę krawca z szewcem zagłuszyły okrzyki zdumienia i oburzenia, które wydawali inni goście Stasia, słysząc z ust jego szczegóły wizyty Müllera, Schulza i Korkiewicza.

Wreszcie goście poszli, a Staś został sam. Z pociechą w duszy. Przecież znalazł się ktoś, co go ocenił i wdzięczność mu okazał.

Bez goryczy, choć ze smutkiem, zabrał się Staś do odczytania listu dawnego swego druha, przygotowany na ton chłodny i nieżyczliwy. Zdziwienie jego nie miało granic, gdy z koperty wypadł banknot stumarkowy, a z listu przyjaciela dowiedział się, że pewna osoba, która nie chce wyjawić swego nazwiska, — staruszka osmdziesięciokilkoletnia, której syn je dynak w roku 1848 prosto z ławy szkolnej udawszy się na pole bitwy, poległ — przesyła mu te pieniądze.

„— — A proszę cię, nie odmawiaj przyjęcia tych pieniędzy, — tak czytał Beńkowski na karteczce, załączonej do listu przyjaciela, i zapisanej drżącem pismem staruszki, — bo dziś czasy się zmieniły i w nas niechęć się budzi, gdy widzimy patryotyzm u młodzieży.

„ — Mój jedynak był też Stach. —

„— — Gdy będziesz pracował dla kraju i swego społeczeństwa, nie zrażaj się obojętnością, ani niechęcią, a pamiętaj zawsze, że przed tobą byli ludzie, którzy stokroć większe ofiary ponosili dla ojczyzny, a których nikt nie wynagrodził. Więc i ty nie pracuj dla nagrody, lecz dla idei. Niech cię Bóg błogosławi! — — “

Łzy — łzy rozczulenia i ulgi płynęły z oczu Beńkowskiego, gdy ten list przeczytał. A w tych łzach spływał cały żal, cała gorycz, jaką miał do świata. Znalazł światełko w ciemnościach i powtarzał: nie pracuj dla nagrody, lecz dla idei!

Wtedy to właśnie przechodzący Korkiewicz z Majcherskim przywołał go do okna. —

Pijacki głos Korkiewicza długo jeszcze rozbrzmiewał, niosąc ze sobą uparcie przez pijaka powtarzane słowa bojowej pieśni legionów, a Beńkowski stał przy oknie, wpatrując się w niebo i myśląc o słowach matki, która kazała mu szukać pociechy w sobie wtedy, gdy czuł się najnieszczęśliwszy... I oto miał ją w sobie, tę pociechę. To chwytał ją myślą i napawał się nią, to budząca się gdzieś w głębi duszy gorycz jeszcze mu ją zaciemniała: zupełnie jak ta, ledwo dostrzegalna gwiazdka, która niepewnem migotaniem swem przykuwała ku sobie wzrok jego. Były chwile, gdy ją widział zupełnie dokładnie, — były inne, gdy jej zupełnie dostrzedz nie mógł...

Widok Korkiewicza na nowo zmącił jego duszę. Z obrzydzeniem się wstrząsał, słysząc, jak z tych ust spodlonych wybiegały słowa, w których skrystalizowała się myśl kilku pokoleń, co jak z galileuszowskiem *e pur se muove* z tą pieśnią cierpiały...

Po chwili jednak pod oknem swem usłyszał dwa dziecinne głosiki, które, podchwyciwszy nutę pieśni, w innym się oddalały kierunku, podając w dal pieśń z piersi czystych i serc czystych. —

A wtedy Staś zaczął pojmować, że są rzeczy tak wysokie, iż przejść mogą przez całą skalę upodlenia, a nic do nich nie przylgnie i nic ich nie splami. Zaczynał też pojmować, że tak, jak ta idea polskości musiała się wcielić w spodloną i upadłą jednostkę, zanim się wcieliła w czyste serca młodzieńcze, tak samo i naród cały przejść musi krzyżową drogę upokorzeń, zanim się przedostanie na drogę przyszłości.

I przestał ze wstrętem i goryczą odwracać w duchu od tych, co go opuścili, bo czuł, że i przez nich — choć bez ich woli i wiedzy — duchy przeszłości podają ręce duchom przyszłości a oni sami, pionki marne na szachownicy losów narodu, bezwiednie posuwają się tam, dokąd ich dłoń wyższa posuwa. —

— — — — — — — — — — — —

W parę dni później Beńkowski, ubrany do podróży, z lekką walizeczką w ręku, która zawierała jego cały majątek, podążał w stronę dworca kolejowego.

Była godzina jedenasta przed południem. Ulice były puste i Beńkowski kontent był z tego, że nie spotykał znajomych. Szedł samotny, tak się bowiem złożyło, że stary Rudzki po zakup mąki musiał na dwa dni wyjechać z Siekierzyna, a Stefek musiał zastępować pannę sklepową, która całą noc poprzednią ochoczo tańczyła na weselu siostry i zgóry uprzedziła, aby jej się przed trzecią po południu dnia następnego nie spodziewano.

Beńkowski szedł więc samotny, a mijając znajome domy, znajome sklepy, nad któremi wisiały szyldy z napisami, co każdą ich literkę Staś znał na pamięć, — żegnał się w duszy z każdym domem, z każdem drzewkiem na placu publicznym. A gdy na starej dzwonnicy pobernardyńskiego kościoła zegar wydzwonił jedenastą — Staś już się zbliżał do dworca. Obejrzał się poza siebie raz jeszcze, wzrok jego mimowoli pobiegł tam, za wieżę kościelną, gdzie z pośród kamieni wychylał się rąbek budynku gimnazyalnego...

Przystanął na chwilę i wpatrzył się w ów rąbek. „Jakie to okno tam widać! Czy to może okno jego klasy? Że też on nigdy na to nie zwrócił uwagi, tyle razy przechodząc tą drogą! — Co tam teraz za lekcyę mieć mogą? Pewnie zaczyna się wykład literatury niemieckiej. Wchodzi dyrektor i, poważnie rozczesując bokobrody, siada na katedrze, otwiera książkę i zaczyna wykład: Przystępujemy teraz do wykładu tej świetnej epoki w literaturze niemieckiej która na polu politycznem opromieniła idea wyzwolenia narodu niemieckiego z pod jarzma Napoleona: Teodor Körner, ów nieśmiertelny piewca wolności — — —.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Stanisław Barącz.

Mróz się bawi.

W wieczór listopadowy wicher rozdąsany
Ogołaca do reszty z suchych liści drzewa,
I prusząc drobnym śniegiem, pędzi ich tumany.

A młody mróz się bawi. Nagle pnie owiewa
Mroźnym tchem, ściska szronem, aż dusze drzew z lękiem
Opuszczają konarów wciąż krzepnące trzewa.

W ciemnościach po powietrzu błądzą z smutnym jękiem,
A mróz się chyłkiem skrada, zdradziecko się czai,
Nagle chyżo się ku nim pomknie skrzydłem cienkiem.

I już wpada w sam środek ich wylękłej zgrai,
Siecze lodem na wszystkie rozprasza je strony;
Kryją się w suchych trzcinach na brzegach ruczai.

Wtem widzą jakieś światło. Przez ciemne zagony
Lecą za niem, okrutny mróz wciąż na nie dybie,
Czują ciepło w izdebce, widzą żar czerwony.

Snują się jakieś cienie w człowieczej siedzibie —
Słyszą nieznane dźwięki, słuchają ciekawie,
Siadłszy cicho na gładkiej, przeźroczystej szybie.

W izbie to pełza płomień, to bucha jaskrawie,
Falą się jasnych blasków rozlewa po chacie,
Ślizga się po podłodze, powale i ławie.

Zacięty mróz, czyhając, siadł na furtki kracie
I gapiące się dusze napada znienacka.
Jednym tchem w lód je ścina w księżyca poświacie.

Dr. Jan Stella-Sawicki.

ALGERYA.

(Ciąg dalszy)

Europejskie kobiety, zmuszone żyć w tym klimacie, starzeją się bardzo prędko, w pięć, lub sześć lat pobytu w takiem gorącu młodziutka osoba więdnie, tak że się staje podobną do starej baby. W tydzień po przybyciu mojem na oazę, właściciel hotelu, w którym się zatrzymałem poniósł ogromną stratę: młoda jego małżonka, którą przed kilku miesiącami przywiózł z Francyi, kąpiąc się w strumieniu, przecinającym oazę, została ukąszoną przez niedźwiadka i pomimo natychmiastowej lekarskiej pomocy, umarła z otrzymanej rany. Boleść męża była nie do opisania. Człowiek ten trzydzieści lat przebył na galerach za zabójstwo. Po powrocie do społeczeństwa, które go na tyle lat odepchnęło od siebie, zaledwo stanął niezależnie, los mu porwał pierwszą istotę, do której przywiązał się z całej duszy.

W Afryce podzwrotnikowej owady wogóle są dosyć rzadkie, ale za to niektóre rodzaje termitów i motyli tworzą nieprzebrane roje. Motyle, zwykle białe i delikatne, roją się tam niekiedy, jak u nas komary i często podróżny znajduje się w takiem otoczeniu, że na pozór mogłoby mu się zdawać, iż śnieg pada.

Zatrzymam się teraz, aby powiedzieć słów kilka o charakterze Arabów i o ich zwyczajach. Arabowie, jak wszystkie ludy mało wykształcone i stojące na pierwszym szczeblu rozwoju państwowego życia, mają bardzo wielki szacunek dla siły, lecz w ogóle sprzyjają spokojnemu systemowi rządzenia, jeżeli ten nie jest zbyt wyzyskującym. Lud ten lubi grzeczność, łatwość przystępu do swych przełożonych, a jeżeli w nich oprócz tego znajduje sprawiedliwość, będzie ich bronił własnem mieniem i życiem.

Cywilizacya arabska średnich wieków głęboko wsiąkła w życie tego ludu i chociaż potem została zniszczoną, tradycya o niej pozostała przecież. Trudno uwierzyć, nie dotknąwszy się tego osobiście, nie zbliżywszy się z Arabami, ile w nich jest delikatnego poczucia przyzwoitości, jaki takt niezmierny, jak jest tu pole przygotowane do posiewu nauki, do wykształcenia, jaka wreszcie ochota do obeznania się z cudami natury i ze światem fizycznym. Ileż to razy, błądząc po oazie Małej Sahary zdarzało mi się przepędzać całe godziny w ich towarzystwie, opowiadając co nauka już wynalazła! Usiadłszy naokoło, w największem milczeniu słuchali słów moich; zadowolenie i ciekawość malowały się na ich śniadych twarzach i z największym żalem opuszczali te zebrania. Przy takiem usposobieniu i charakterze Arabów, ludzie umiejący przemówić do ich rozumu i serca, podziałać na wyobraźnię, zyskać ich poważanie sprawiedliwością, mądrością, odwagą, mogą zjednać u nich niezwykłe znaczenie i wziętość. Tak jedynie można sobie wytłumaczyć wpływ marabutów na masy. Wątpię, żeby ci ludzie zyskiwaii sławę i znaczenie, li tylko za pomocą tych cudów, przez które marabuci działają na wyobraźnię tłumów; Arabowie bowiem nie są tak ograniczeni, ażeby nie wiedzieli, że pod każdem prawie niepojętem zjawiskiem, ukrywa się najnaturalniejsza przyczyna. Zwykle duchowni ci mają wielki rozum, są pełni poświęcenia dla biednych i słabych, pełni religijności i dobroczynności. Takim też Arabowie dają się powodować łatwo, idą do nich po pomoc i pociechę, po rady i sprawiedliwość, a jeżeli sława którego z nich rozniesie się daleko, wtedy po radę i błogosławieństwo dążą ludzie z krain bardzo oddalonych. W tym względzie Arabowie są podobni do żydów, którzy odbywają wędrówki do sławniejszych swych rabinów, żeby usłyszeć choć jedno słowo z ich ust i otrzymać błogosławieństwo dla siebie i dla rodzin swoich. Takim był u Arabów algerskich Emir Abd-el-Koder.

Po śmierci takiego świętego człowieka, grzebią go z wielkiemi honorami, otaczają grób wojennemi trofeami i wdzięczni rodacy przychodzą tam modlić się, unosząc z sobą garść ziemi z grobu, zawierającego ich szczątki. Dzieci zmarłego są naturalnymi stróżami mogiły ojca, i jeżeli posiadają ojcowskie cnoty, są poważani w kraju; jeżeli zaś nie, (a to zdarza się najczęściej), pozostaje im miano: „syn takiego, lub takiej", żeby zachować pamiątkę zasług ojca, lub matki. Lud wtedy szuka innego świątobliwego człowieka, któryby mógł być ich przewodnikiem i kierownikiem ich sumienia. Ludzie ci doskonale pojmują, że siła ich leży w tem kierownictwie, a nie w bogactwie, nie w tytule, dlatego też marabuci zawsze odmawiają przyjęcia obowiązku kaida, lub szeryfa, które im nieraz ofiarują rządy zaborcze.

Arabowie są ludem nadzwyczajnie arystokratycznym. Są u nich arystokraci rodowi, pochodzący od Fatymy, córki Mahometa, arystokraci wojenni, potomkowie pierwszych wojowników mahometanizmu, nareszcie arystokraci duchowni, czyli marabuci. Z tych trzech rodzajów arystokratów wybierają się wszystkie miejscowe władze. Reszta społeczności arabskiej nie dzieli się na klasy, jak w innych krajach; tu nie ma mieszczan, kupców, rolników — tu wszyscy są równi. Naczelnicy plemion zbierają podatek i odbywają sądy jak nieograniczeni władcy. Zamiast praw istnieją tu zwyczaje, uświęcone czasem, za śmierć — śmierć, za mniejsze winy i przekroczenia — kary pieniężne. Z najwięcej oddalonych na południe miejsc, w czasie żniw wychodzi część plemienia

ze swemi stadami na północ, gdy słońce spaliło już całą trawę na puszczy, jako też dla zamiany daktyli na zboże, na cienkie wełniane materye, burnusy, pióra strusie i różne wyroby Sudanu. Plemiona te, za prawo handlu płacą pewną daninę. Pod ich eskortą kupcy, żyjący na oazach, przybywają do miast, leżących na brzegu Śródziemnego morza, zakupują, co potrzeba na południu i wracają nazad do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ludwika Godlewska (Exterus).

FANTAZYA.

AUTORCE „NIZIN“ i „NAD NIEMNEM“.

Pustka i milczenie, tylko od nagich ścian odbija się rytmicznem echem odgłos kroków człowieka, który chodzi po kamiennej posadzce.

To on, wydziedziczony.

Znowu nadeszła godzina, w której bóg — czas wyrywa go z uśpienia i sączy do stężałej duszy cierpienie, bunt i nienawiść! Fala powietrza dwanaście razy zadrgała głucho, niby dwanaście uderzeń podziemnego młota. Rok stary rozwiał się w przestrzeniach, wydziedziczony słuchał długo, potem jęknął.

— Przeklęte niech będą cienie i bezsilny starzec, który niknie w nich, jak widmo i odchodzi, by nie wrócić. Nic nie dał zapomnianemu i nic mu nie zabiera, bo nic zabrać nie mógł, chyba wiele kropel bezpłodnego znoju i dużo łez wyci śniętych męką.

Ale tych nie chciał, więc były i będą. Roku stary, bądź przeklęty!

Dla innych miał kiedyś marzenia, nadzieje, może wcielenie marzeń i nadziei... dla niego nic, tylko tysiące godzin i krocie minut w wieki zmienionych, które się wlokły, jak ciężkie chmury i zapadły w oceanie, bez śladu.

Oto dawny orzeł depce w kieracie, podobny koniowi, który kiedyś oddychał wichrami stepu, a teraz z wysiłkiem dźwiga własne kości, powleczone zrudziałą skórą i marzy o posiłku z przegniłej słomy.

On, orzeł bez skrzydeł, marzy także o kęsie chleba, o kropli wody do ust dawno spragnionych i o lżejszem oddechu dla płuc, którym powietrze zatruło.

Dlatego żyje. Więcej pragnąć zapomniał... wspominać także zapomniał... Lecz starzec odchodzi, a z bezbrzeży czasu i mgły sinej, niby jasna twarz miesiąca, wynurza się nadzieja, jak młodość piękna i urąga wydziedziczonemu:

— Otom Rok Nowy! niosę uśmiechy i kwiaty i gwiazdy — dla innych.

— Przeklęta chwilo!

Ten, który zapomniał pragnąć i wspominać, w owej godzinie widzi, jak przez jego duszę, niby żórawie, ciągną mary dawnej świetności.

Miał gmachy z marmuru i kryształu, miał łany rozkołysane słońcem, łąki, jak szmaragd, przestrzenie, jak bezmiar. Wzrokiem sięgał szczytów najwyższych i gwiazd najjaśniejszych, myślami szedł na wyścigi z wiatrem halnym.

Teraz kierat, znój bezpłodny i niezgaszone pragnienie!

A na mgłach sinych płynie Rok nowy, jak młodość piękny i z jasnego rogu sypie dary dla tych, którzy mają dość chleba i powietrza. Tacy mają prawo marzyć o owocach na szczycie palmy rwanych i o soku winnej jagody, więc on też nie chleb niesie, lecz gwiazdy i ideały dla sytych i wolnych.

Niech niesie na hańbę własną i ziemi, przeklęty!

Ostatni jęk i ostatnie echo kroków wydziedziczonego rozwiały się w cieniach. Stanął, cienkie palce utopił we włosach płowych, jak rozkwitłe łany, które były, lecz których nie masz więcej, duszą nienawidził, a wzrokiem chodził po ścianach, gdzie wiszą strzępy starych malowideł, kawałki złamanej stali i trochę skrwawionych piór ptaka, który odleciał.

— Wieczny chłód, wieczne ciemności... — szeptał. — Towarzyszem zapomnianych, to osamotnienie i strzępy. Nikt nie pomaga dźwigać rozpaczy i nienawiści, choć nie on sam przecie wydziedziczony.

Miał brata. Ciemny był i głuchy, nie gonił myślą razem z wichrem halnym i kochał tylko zagon, któremu jego znój krwawy był rosą. W szczęściu nic nie łączyło orła i tego wołu zgiętego pod jarzmem, a niedola rozdzieliła jeszcze więcej, bo wyciągniętą rękę dumnego, brat ciemny i zapoznany odtrącił mówiąc:

— Nie miałem brata i nie znam ciebie.

Poczem obrócił wzrok ku tym, którzy tańczą w ich pałacach z kryształu i depcą po grobach ich świętości.

Pozostały siostry. Dla nich, on, wydziedziczony uratował len, wrzeciono i trochę cacek. Wzięły je i bezmyślne strzegą teraz reszty skarbów, nie widzą, nie czują i nie rozumieją — kapłanki!

Kapłanki małych ognisk, gdy wielkie wygasło!

Samotny człowiek rozśmiał się z litością. nagie ściany odpowiedziały echem, a on drgnął, wstrząśnięty nowem wspomnieniem.

— Jedna nie przędzie i nie bawi się cackami. Była z sióstr najmłodsza i niesforna, jak tamta miała oczy podobne niebu dawniejszemu, włosy jak świetlana przędza i usta, jak róże, do uśmiechów. Gdy jej podawał wrzeciono, wzięła je, patrzyła nań pilnie oczami od łez mokremi i spytała:

— Awięcej?

— Więcej nic — odpowiedział.

Wtedy z jej wzroku padła błyskawica pogardy, wrzeciono rzuciła mu pod stopy i odeszła.

Gdzież jest teraz? Czy może także u tych, którzy zwycięzonych na wieczną noc skazują? Czy poszła do nich po światło, jak tamten poszedł po okruchy? Była biała i czysta i musi wrócić, musi cierpieć z nim razem, bo on tak chce, on, dawny pan i władca, dziś król wydziedziczonych!

Opuścił grób strzępów i pamiątek i poszedł szukać siostry.

Mgły płynęły po ziemi i niebie i w łonach niosły smutek, a on szedł przez nie, podobny duchowi, szedł długo za śladem stóp drobnych, które go wiodły przez moczary i sochą nietknięte ugory, mijał gniazda ludzkie z gliny i ziemi zlepione, zstępował coraz niżej i niżej, wreszcie stanął rażony zdumieniem.

Oto, przed nim wznosiło się wzgórze, niby pierś wzdęta westchnieniem i łzami tych ciemnych obszarów, przez które go ślad prowadził. Na wzgórzu sterczała trójca krzyży czarnych, a pod najwyższym klęczało dwoje, ona z włosami, jak świetlana przędza, on ciemny i głuchy.

Jej mgły przypięły skrzydła do ramion, jeszcze bose stopy otuliły rąbkiem przejrzystym i było wokoło nich milczenie wielkie.

Modlą się, poczem ona coś mówi i ręką, jak szrony, białą wskazuje mogiłę, to niebo, a dawny ślepiec prostuje schylone plecy, podnosi ociężałą głowę i za tą ręką idzie oczami.

— Czyżby widział, słyszał i rozumiał?... szepce wydziedziczony.

Lecz oto wstają teraz, zchodzą ze wzgórza i zdziwieni bardzo, patrzą na dumnego brata, który do nich wyciąga ręce, nie jak pan, lecz jak proszący i mówi:

— Zimno mi i samotnie, pójdźcie!...

Ona zaś powtarza:

— Zimno ci?

I dodaje:

— Alboż gwiazd nie widzisz?

— Gwiazd?... Dawno nie widziałem żadnej.

Więc go teraz bierze za rękę i zwraca ku stronie, gdzie przed wschodem słońca zorze wykwitają różami i wskazuje na niebo, szare od tumanów.

I oto w tumanach błyszczą światełka, w dali dwa małe, nikłe, tuż przy sobie jakby bliźnie, a niżej jedno wielkie i dziwne. Świeci raz słabiej, raz mocniej i gdy silnym blaskiem pała, tamte oba goreją także, jak słońca.

Wydziedziczony chciwe ręce wyciąga do świateł i woła:

— O powiedzcie, jakie ich imiona!

A siostra patrzy nań mokremi oczami i odpowiada:

Tamte, to praca z nadzieją.

Poczem milknie i chociaż on pyta jeszcze:

— Lecz to blizkie, to wielkie i jasne, kto ono, powiedzcie!

Milczy i chyli głowę.

Wtedy dawny ślepiec zwraca ku niebu twarz zoraną skwarami i słotą, wyciąga dłoń twardą i wskazując na światło, mówi wolno:

— To przebaczenie moje.

Zamiast bielma, ma teraz duszę w oczach, a ona podnosi czoło bardzo jasne ujmuje dłonie obu braci i łączy je na własnem sercu.

I tak idą wydziedziczeni razem, a w mgłach ciężkich i wilgotnych: gwiazda nadziei błyszczy, jak słońce.



J. B.

Teatr miłośników sceny we Lwowie.

Towarzystwo to zawdzięcza swe istnienie inicyatywie Tadeusza Pilarskiego i Romana Bielskiego, którzy pod reżyseryą artysty dramatycznego Jana Nowackiego przeprowadzili z zaparciem się siebie pierwsze przedstawienie do skutku i przy pomocy grona amatorów zdobyli skromne fundusze na cele humanitarne.

Wzorem dla inicyatorów było w tej mierze warszawskie Towarzystwo dobroczynności. Inicyatorowie rychło znaleźli ogólny poklask, dnia 28 lipca 1899 powstało stałe, poważne towarzystwo pod nazwą „Teatr miłośników sceny", posiadające własne dekoracye, kostyumy, rekwizyta i bibliotekę, a urządzające niedzielne przedstawienia w sali gimnastycznej „Sokoła". Sala każdym razem zapełniona po brzegi; częstokroć odchodzi publiczność od kasy dla braku miejsc wolnych.

Pełni zapału i zamiłowania do sztuki stanęli stowarzyszeni do żmudnej pracy, to też dzięki poparciu ze strony dziennikarstwa, doprowadzili Towarzystwo w krótkim czasie do rozkwitu i do ogólnego uznania społeczeństwa, odczuwającego dodatnią stronę instytucyi.

Nie naszam zadaniem pisać szczegółowe sprawozdanie o pracach Towarzystwa, o utworach wprowadzonych przez amatorów w pierwszym roku istnienia instytucyi na deski sceniczne, ogólnie tylko zaznaczamy, iż Towarzystwo dostarcza miastu po nader przystępnych cenach miłych i przeróżnych rozrywek, zdobywa zarazem zasoby na cele dobroczynne.

Nowy rok administracyjny Towarzystwa rozpoczął się z dniem 1 października 1900. Na czele Towarzystwa stoi obecnie, jako prezes, radca Józef Białynia Chołodecki (w literaturze Walenty Cwik), sekretaryat objął Julian Dobrzański, syn chlubnie zapisanego na kartach dziejów narodowego teatru Stanisława Dobrzańskiego, kierownictwo artystyczne pozostało w nader gorliwych rękach Tadeusza Pilarskiego, podczas gdy artysta dramatyczny Jan Nowacki oddaje się nadal z prawdziwem poświęceniem, jako profesor, nauce „Miłośników". Do Wydziału weszli daiej Zygmunt Drągowski, skarbnik i Jan Martynowicz, rekwizytor.

Towarzystwo liczy przeszło 40 czynnych, tj. występujących na deskach scenicznych członków, z pośród których zasługują szczególnie na imienną wzmiankę panie: Pillerowa Marya (bohaterka), Kozierowska Marya (naiwna), Rybakówna Olga, Jahlówna Jadwiga, Zielińska Sabina, Maliszkowa Ludomira (charakterystyczne), Strassern Leonia, Zawistowska Wanda, Noah Zofia (amantki), Adamowska Jadwiga (dla ról salonowych), panowie: Pilarski Tadeusz, Wiesenberg Henryk, Dobrzański Julian, Drągowski Zygmunt, Terlecki Zygmunt, Czajkowski Edmund (charakterystyczni), Andruszewski Mar., Okoński Adam (amanci-bohaterowie), Bielski Roman (lekki amant), Tymiński Stanisław, Martynowicz Jan (płascy komicy) itp.

W ostatnim kwartale przedstawiło Towarzystwo utwory: „Argonauci" G. Ceglińskiego (4 razy), „Mistrz Paryża" Alicyi Ramsey, „Szumi Marica" A. Urbańskiego, „U Wyłomu" L. hr. Starzeńskiego, „We czworo" M. Gawalewicza, „Fryc" H. Sudermanna, „Zmykajmy" A. Hennequina, „Pani Doktorowa" dra A. Roickiego, „Pod obce niebo" Z. Mrozowickiej, „Dwa obozy" dra Sydona Frydberga i urządziło z nader urozmaiconym programem wieczory w dniu św. Mikołaja i Sylwestra.

Nie dziw, iż wobec szczerej pracy i wielkich sukcesów, ma „Teatr Miłośników sceny" ustaloną reputacyę nie tylko w stolicy, ale i w całym kraju i liczy się do trup teatralnych, prawdziwie poważnych, pomimo, iż „nie wyrabiała im farby powodzenia reklama dziennikarska, nie obwieszczały ich gigantycznej wielkości po amerykańsku stylizowane afisze, ani też nie zapowiadała ich sobie naprzód stugębna fama".

Wyrośli nagle, niepostrzeżenie niemal samą siłą faktu, stali się każdej niedzieli aktualnymi, modnymi — zdobyli sobie patent i firmę ulubionych i nader pożądanych.

Or—Ot.

Na szarą godzinę.

I.

Gdybyż to można znać zaklęcia słowo
I kazać sercu: kochaj tę, lub ową!
Gdybyż z tych istot, co się ma dokoła,
Wybrać jednego białego anioła!
I z tym aniołem zbratać się już wiernie
Na łzy — uśmiechy — i róże — i ciernie!
Gdybyż to można znać zaklęcia słowo
I zmienić życie w jakąś baśń tęczową!

Ale któż zmieni przeznaczoną dolę?
Twe serce — inne zabiera w niewolę,
Zimne, jak marmur i twardsze od spiżu.
Codzień ofiarę rozpina na krzyżu,
A ona, idąc na męczeńskie łoże,
Zerwać kajdanów nie chce i nie może
I na swą mękę nie znajdzie sposobu
I przy złym panu musi trwać do grobu!...

II.

Połóż swą główkę na grobu wezgłowie,
Gdy nad nim będzie wiatr jesienny szumiał,
Może grób zadrży i wymowniej powie
To, com ja tylko prosto mówić umiał.

Może w pośmiertnem, pełnem żalu słowie
Znajdziesz wyrazy, które świat przytłumiał, —
Bo nigdzie w ludzkiej nie określić mowie
Miłości takiej, jaką-m ja rozumiał!

Kiedyś, gdy poznasz całą pustkę świata,
Gdy zwrócisz do mnie pamięć twą, gdy wstanie
Wspomnienie ciche, co jak ptak przylata,
Gdy cię owieje jego skrzydeł wianie, —

Wtedy twe serce żalem zakołata
I piersi wielkie rozwichrzy ci łkanie,
Ach! — i odczujesz na pustyni świata,
Czem było moje milczące kochanie...

III.

W mgle stoją łąki i pola,
Szarawy kończy się dzień, —
Wróciła moja niedola
I chodzi za mną, jak cień!

Jak dziecko serce mi płacze,
Tęsknota siedzi u wrót..
Wiem, że ją znowu zobaczę,
Ale: czy taką, jak wprzód!

Jak źle się sercu pogodzić
Z myślą, że musi tak być,
Że ona może odchodzić,
Że może zdala gdzieś żyć

I duszę moją zabierać,
U jej wlokącą się stóp, —
A ja tu muszę umierać
Z piersią, jak trumna i grób!

Przeciw nadziei wierzyłem,
Płynąłem naprzeciw fal,
Wszystkie zwątpienia uśpiłem,
Uśpiłem smutek i żal.

I tworząc świat swój, świat duszy,
Śniłem, że wieczny on był, —
A oto niebo się kruszy
I gmach mój upada w pył.

Jak łatwo sercu się łudzić,
Że wolno życie z róż pleść —
I przyszła pora się zbudzić
I muszę jarzmo swe nieść.

W tęsknocie, co żarem pali,
Łzy gorzkie jak piołun pić, —
A jednak trzeba iść dalej
I walczyć trzeba — i żyć!

IV.

Nie klnij tęksnoty, choćby serce twoje
Pękało z męki, jak stargane struny,
Ona ci wkońcu da hartowną zbroję
Na wszystkie życia burze i pioruny.

Nie złorzecz bólom, choć twą krew serdeczną
Piją, jak bestya napoju nie syta, —
Jęk każdy kiedyś wzbudzi skrę słoneczną,
Z każdego bólu złoty plon wykwita

Nie bluźnij smutkom, choćby twoje oczy
Gorzkiemi łzami sączyły się codzień:
Smutek to strumień, co się w niebo toczy,
Ty jego brzegiem idący przechodzień.

Życie, to dziwna bajka krwawo-złota:
Z piołunu róża, z róży piołum wschodzi!
Z miłości ból jest, smutek i tęsknota,
A z owych trojga: znów się miłość rodzi.

V.

Postokroć lepiej,
Pełzając, jak gad,
Plugawą śliną
Zatruwać świat,
Niż jako orzeł
Stanąć na górze,
Skąd widać ziemskie
Walki i burze.

Przeczołga życie
Żmija i wąż,
Wpatrzeni w błoto
I w błocie wciąż.
I myśl im żadna
Ciszy nie zmąca,
Że są nad błotem
Gwiazdy i słońca!..

VI.

Opętał szatan mojego ducha
I dumne serce wiódł do spodlenia,
I była ciemność nędzna i głucha,
A w niej pierś z ognia i pierś z kamienia.
Ach, oszalałem dla owej bryły,
W bezmyślny kamień chcąc przelać siebie,
Podaj mi rękę! dźwignij z mogiły!
Gołąbko moja! wracam do ciebie!...

Gdy mnie tęsknota rwała paląca,
Podlem odbieżał od twego proga, —
Chciałem przez miłość lecieć do słońca!
Chciałem przez miłość wznieść się do Boga!
Ale się słowa spełniły twoje
I jadłem piołun w codziennym chlebie, —
Po wiarę dawną, po szczęście moje,
Gołąbko moja! wracam do ciebie!

L. S.

„GIOCONDA“ — dramat Gabryela d'Annunzio.

„Raz przeznaczenie, będąc u siebie samego za sługę, pędziło woły na rzeź, chciało się wrócić... ale nie mogło“.

D'Annunzio w Silvii i Giocondzie upostaciował dwie sfery życia ludzkiego, duchową i zmysłową, jest to rzecz obojętna zresztą i dla czytelnika i dla samego dramatu, jednak wspominam tu o tem, ponieważ autor kilkakrotnie w dramacie akcentuje silnie intencyę, Lucio, jako artysta — rzeźbiarz, odczuwa przedewszystkiem piękno form plastycznych, żyje przedewszystkiem zmysłami. „Nie rzeźbię dusz“, powiada Lucio do Delba: „Silvia jest duszą nieocenionej wartości, ale ona nie dla mnie stworzona“. „Twórcza moc przyjdzie do mnie nie z dobroci Silvii, ale z głębi instynktów Giocondy“. A potem opisując, miejsca w których przebywają obie rywalki, mówi d'Annunzio o miejscu pobytu Giocondy. „Wrażenie, które pokój ten wywołuje, jest biegunowo różne od wrażenia mieszkania Silvii, pełnego mistycznej prostoty. Tam panuje nastrój zamyślenia duszy wielkiej i smutnej, u Giocondy wszystko zdradza dążenie ludzkiego ciała do zwycięzkiego, płomiennego życia. Lucio dla życia z dziką i zmysłową, piękną Giocondą, pogardza pełną gotyckiej, mistycznej piękności duszą Sylvii.

D'Annunziowi chodziło o uwydatnienie walki dwóch przemożnych żywiołów, które tak ogromną grają rolę w życiu duchowem każdego artysty i rozstrzygają o jego losie.

Wady dramatu d'Annunzia wypływają z tego, że mistrz powieściopisarz zapomina zbyt często, że pisze dramat.

Powieściopisarz może być analitykiem, zadaniem dramaturga jest przedstawienie duszy ludzkiej w syntezie. W powieści wnikamy w wewnętrzną głąb bohatera za pomocą obserwowania poszczególnych objawów psychicznych, oglądamy każdy stan duchowy zosobna, rozbieramy go i powoli składamy całość duchową. Dramat natomiast zaraz w pierwszym momencie dramatycznym, daje nam duszę bohatera w jej całokształcie, który, nie uszczuplony przez cały rozwój dramatu, zachowany być musi i występuje crescendo, potężniejąc w coraz to silniejszem forte, aż dochodzi do „fortissime“ katastrofy. Na prowadzenie dramatu w ten sposób nie istnieje żadna recepta, tego nie można się nauczyć. To przynosi już poeta z sobą na świat. W tem znaczeniu mówimy o kimś, że jest urodzonym z krwi i kości dramaturgiem.

Nie jest zupełnie pustym, paradoksalnym frazesem, jeśli się mówi obrazowo, że dusza bohatera w dramacie jest obrazem kalejdoskopu, który w każdej chwili staje nam przed oczyma w komplecie wszystkich składających się nań okruchów szkła, chociaż co chwila w różnym układzie, podczas gdy powieść jest niejako sznurem pereł, z których każda jedna po drugiej, kolejno przesiewając się przed naszemi oczyma, daje nam na końcu dopiero pojęcie o całości.

Uzewnętrznieniem duszy bohatera w dramacie, środkiem, który nam wyświetla i tłumaczy charakter osoby działającej jest czyn, czyn, jako synteza wszystkich czynników składowych, człowieczej psychy, jako ogólny obraz wszystkich cech wewnętrznych danego osobnika, jako w y p a d k o w a wszystkich sił duchowych.

Tylko w ten sposób zapomocą czynu wolno dramaturgowi zapoznawać widza z duszą bohatera.

Powieść ma na to inne, łatwiejsze środki, nie wymaga tak pewnej i umiejętnej ręki, jak dramat.

Powieść pozwala nam wnikać w duszę człowieka zapomocą środków czysto zewnętrznych, naprzykład, stawiając bohatera na tle epizodycznych zdarzeń i wypadków, na tle krajobrazów, powieściopisarzowi wolno nawet charakteryzować bohetera zapomocą obrazów dnia, nastrojów i porównań.

W powieści przez szczegóły czysto zewnętrznej natury doszukujemy się duszy bohatera. W dramacie zaś ma miejsce niejako bezpośrednie objawienie duszy.

Niestety, nie tu miejsce wyczerpująco, rzecz tę wyświetlić. Na to potrzebaby specyalnego traktatu o dramacie.

D'Annunzio urodzonym dramaturgiem nie jest. To analityk powieściopisarz. Stąd charakteryzowanie osób zapomocą słów wkładanych w usta innych osób. D'Annunzio czuje, że osoby jego nie wyswietlają się same przez się. Stąd kładzenie zbyt wielkiego nacisku na zewnętrzne zachowanie się aktora, który ma wytłómaczyć stan psychiczny, czego czyn t. j. właściwy dramat nie zdołał wykonać. W akcie drugim, gdy Silvię nagle nachodzi obawa, by mąż nieporzucił i niepowrócił znowu do Giocondy, autor zupełnie nam nie daje duszy Silvii w danej, tak ważnej chwili dramatu. Zapomina, że jest dramaturgiem, zmienia się nagle w powieściopisarza i w nawiasie opisuje zewnętrzny wygląd Silvii w danej chwili. Jestto, pomimo że w nawiasie, jedno z najcudowniejszych miejsc całej książki. Lecz niestety dla dramatu zbyteczne, bo braku bezpośredniego przedstawienia duszy Silvii nie zastąpi. Nie jest to nawet wskazówka dla aktora. Tego, co autor tam każe robić Silvii, nie zdoła wykonać najgenialniejsza aktorka. To przechodzi jej siły. Autor zapomniał, że tu chodzi o aktora a nie o bohatera powieści, którego można charakteryzować nawet zapomocą porównań i nastrojów. Powiada dalej w IV. akcie, że ruchy Silvii mają mieć w sobie coś, co wywołuje wrażenie ptaka z uciętemi skrzydłami i nieokreślone uczucie, jakiejś poniżonej i złamanej siły, czegoś szlachetnego, co zostało upokorzonem, jakiejś harmonii, która zmąconą została. Czemuż tego nie dał w samej akcyi? Czemu nam tego nie pokazał?

Wszystkie przejścia duchowe Silvii w chwili tak dramatycznej, kiedy oczekuje przybycia Giocondy, by stanąć z nieprzyjaciółką, swą oko w oko, opisane, są cudownemi, mistrzowskiemi słowy, ale — w nawiasie.

Annunzio zapomina, że możność aktorki jest trochę mniejsza, niż możność powieściopisarza.

III.

D'Annunzio jest zawsze świetnym mistrzem słowa.

Bahr, obecny na I-szem przedstawieniu Giocondy, w Teatro Mercadante w Neapolu, opowiada o wrażeniu, jakie dramat wywołał. „Publiczność — powiada — nierozumiała zupełnie idei dramatu. Sztuka nie robiła wrażenia, lecz wydarzało się, że przy pięknym przymiotniku całe audytoryum wydawało przytłumiony okrzyk podz wu. Aktor musi przestać grać, a w amfiteatrze buja przymiotnik, zdaje się, że słychać, jak szepce w powietrzu, każdy powtarza go sobie cicho, aby się nim nacieszyć, jak pięknym, rzadkim kamieniem, który się skrzy, albo szlachetną i głęboką barwą, której się jeszcze nigdy nie widziało. A potem, po kościelnej niemal ciszy, podnosi się nagle hałas, oklaski, wszyscy krzyczą, nie chcą się uspokoić, tak wdzięczni są tam wszyscy za piękny przymiotnik“.

Jedną z prawdziwych pereł poezyi współczesnej jest pierwsza scena czwartego aktu, pełna przecudnego, subtelnego uroku, rozsianego dłonią małej Sirenetty, pół rusałki, pół żebraczki, która zjawia się między oleandrami ogrodu nieszczęśliwej Silvii, ażeby ją pocieszyć i przynieść jej w podwiniętym fartuchu porosty wodne, morskie gwiazdy i muszle. Jestto dziewczyna młoda, delikatna, gibka, ma złotawe rozburzone włosy, twarz koloru złotej oliwki, zęby, jak drobne perły, oczy głębokie, jak woda morska; szyję długą, cienką, owiniętą sznurem muszli. Cała postać jej ma w sobie coś niewymownie świeżego i wiotkiego; patrząc na nią, myśli się o stworzeniach przesyconych zapachem soli morskiej, które wybiegły z fali, gdzieś z jakiejś skrytki skał podwodnych; suknia jej wybladła i podarta, sięga kolan, odsłaniając nagie nogi.

Sirenetka jest bosą, a nogi jej w przeciwieństwie do brunatnej barwy, którą słońce powlokło jej twarz, szyję, piersi i ramiona, są blade, jak korzenie roślin, żyjących w morzu. Jej głos jest jasny i dziecinny, a niektóre słowa, które wymawia, zdają się jej rumianą twarz rozjaśniać jakimś pełnym tajemnicy promieniem szczęścia.

S i l v i a (*spostrzega na progu stojącą Sirenettę*) Sirenetto! wejdź! wejdź!

S i r e n e t t a: Poznajesz mnie?
Czy wiesz, kim jestem, pani! Piękna pani?

S i l v i a: Wiem, kim jesteś. Wiem, kim jesteś.

S i r e n e t t a: Poznajesz mnie? Więc któż ja jestem?

S i l v i a: Czyż nie jesteś Sirenettą?

S i r e n e t t a: Tak poznałaś mnie. Jak długo jesteś już tutaj?

S i l v i a: Niedługo.

S i r e n e t t a: A teraz już pozostaniesz tutaj?

S i l v i a: Jeszcze bardzo długo.

S i r e n e t t a: Aż do zimy?

S i l v i a: Być może.

S i r e n e t t a: A twoja mała?

S i l v i a: Oczekuję jej. Wkrótce przybędzie.

S i r e n e t t a: Beata. Czy nie nazywa się Beata?

S i l v i a: Tak, Beata.

S i r e n e t t a: Czy ty jej dałaś to imię? Ty? Beata, nie Beatrice. Pamiętam, kiedy tu była, chciała każdego dnia odemnie gwiazd, morskich gwiazd. Nie mówiła ci tego? Pragnęła usłyszeć mój śpiew. Nie mówiła ci tego?

S i l v i a: Tak, mówiła mi. Często wspomina ciebie, lubi cię bardzo.

S i r e n e t t a: Lubi mię? Ja wiem. Dawała mi każdego dnia swoją bułkę.

S i l v i a: Dostaniesz każdego dnia bułkę, jeżeli chcesz. Bułkę i łakocie, Sirenetto, rano i wieczór, jeżeli chcesz. Pamiętaj.

S i r e n e t t a: Każdego ranka i wieczora będę ci przynosiła gwiazdy morskie. Czy chcesz gwiazdę? Taką piękną, większą od Twojej dłoni.

S i l v i a: (*zmieszana, chowa ręce z odbitemi dłońmi w fałdy sukni*) Nie, nie! Schowaj ją dla Beaty.

S i r e n e t t a: (*zdziwiona*) Nie chcesz?

S i l v i a: Powiedz mi lepiej coś o twojem życiu. Powiedz mi, co robisz przez cały dzień? Czy to prawda, że rozmawiasz z syrenami morskiemi? Mów, opowiedz mi o tem Sirenetto.

(Dokończenie nastąpi).

Bertold Menkes.

ZAKATARZONE DUSZE.

Ostatnimi czasy napotkać można na półkach księgarskich coraz liczniejsze zgraje poetyzujących jedynostek, co to nie mając siły ni zdolności do bezpośredniego wyczucia poetyzyi naturalnej, starają się ją sztucznymi, zewnętrznymi środkami fabrykować. I powstają stosy takich „poezyi“, zdzierających tylko czar przyrodzony, który natura tchnęła w to, co nas otacza, mimo iż często są zrobione z całym aparatem zewnętrznych wymogów, wielką rutyną i znajomością środków pisarskich.

Tandeciarstwo to poetyczne, rozwielmożniwszy się do niemożliwych granic, dyskredytuje prawdziwą, z czystego natchnienia płynącą twórczość poetycką. Ludzie poczynają stronić od utworów pisanych wierszem, wiedząc, iż na sto tomów ledwo kilka się znajdzie godnych czytania.

To też obowiązkiem publicystyki jest trzebić te dychawiczne płody pseudopoetyczne — trzebić z zupełną bezwzględnością.

Niechby się tylko raz na rok, raz na lat kilka pojawił na jarmarku księgarskim tom poezyi, byle był prawdziwie poetycznym, wewnętrzną potrzebą tworzenia wywołanym, byle silnym, żywotnym.

— — — — — — — — — —

Ilekroć którego z moich znajomych nawiedzi katar, przeziębienie, radzę mu natychmiast:

— „Pozostań przez pewien czas w domu, a katar minie“...

Ach, czemuż to ci wszyscy kandydaci na wieszczów, zalewający piśmiennictwo oceanami poematów, nie mają takich życzliwych, którzyby każdemu z nich poradzili:

— „Pozostań, brateńku, przez pewien czas w domu, może katar minie“...

A mija ten katar, mija... U jednych już w dwudziestym roku życia (zwykle u poetyzujących pensyonarek, wychodzących za mąż i zawieszających wszystkie „ideały i poezye“ na kołku); u innych w dwudziestym piątym (u młodzieży płci męskiej, upaństwawiającej się w tym czasie i obierającej zawód „praktyczny“); u innych wreszcie trwa przez całe życie. I ci są najniebezpieczniejsi! I najnieszczęśliwsi zarazem..

Niebezpieczni, bo trudno publiczność ustrzedz przed hypertrofią ich twórczości; nieszczęśliwi, bo prowadzą ciągłą walkę z brakiem zdolności, brakiem siły słowa, brakiem oryginalnych pomysłów, brakiem wewnętrznego zadowolenia, słowem z katarem twórczości.

Gdyby byli lepiej zestali w domu!...

— — — — — — — — — —

Jednym z tych „poetów“, u którego katar twórczości będzie niestety dożywotnim, mam zamiar zapoznać czytelników dla uzasadnienia, iż moje powyższe wywody nie były gołosłownymi, ale podyktowanymi doświadczeniem.

„Poeta“ ten pisze pod pseudonimem

Lumira.

Wydał on jednocześnie aż trzy tomy, zawierające „dwa poematy boleści“, zatytułowane „Na ziemi“ i „Perły“, potwornie wielki, bo na przeszło 500 stron rozwałkowany dramat „Gwiazda Wschodu“, wreszcie „Poema *** — Prolog“, jako stanowiące łącznie z poprzednim utworem „całość pełni Idei“...

Około 1000 stron druku! A to barbarzyniec! Pan Lumir widocznie czuje „żywiołową siłę“, skłaniającą go do płodzenia wierszy rano, w południe, wieczorem i w nocy, na wsi i w mieście, po jarmarkach i w stajni — gdzie się zdarzy, byle tylko wyspiewywać piosneczki, „skarby uświęcane duszą tęczołzawą (?) jak blaski opalu“. Tak kolorystyczne określenie duszy nie przeszkadza panu Lumirowi bynajmniej, stękać kilka wierszy potem:

„Skargę się sobie... a czyja wybladła
Dusza, jak moja — skargę usłyszy“...

Dusza pana Lumira jest równocześnie wybladłą i — „tęczołzawą“... Ale ta mała nielogiczność — to najmniejsza jeszcze niedorzeczność w poemacie p. t. Na ziemi.

W noc wigilijną przypomina sobie p. Lumir, że:

„jasne były dnie, gdym nie znał cierpienia;
Gdy strat duchowych nie znałem
ogromu!!!
...bo kto nie zna rozpaczy, gdy się bluźni Panu...
Gdy świat i życie — okropnych mąk *adem* (!!)...
O jakże szczęśliw! — swem uczuciem bladem (!!)
Nie pojmie lutej burzy oceanu
W piersi“.

Stwierdziwszy więc, że zwykły człowiek nie pojmuje intenzywności życia „swem uczuciem bladem“ i zrymowawszy ten ostatni wyraz z dzikim a niezrozumiałym nowotworem „adem“ — przystępuje pan Lumir do ohydnego sprofanowania „Ody do młodości“ i „Niedawno odwiedziłem dom nieboszczki matki“ Mickiewicza, a przedewszystkiem marsza żałobnego Ujejskiego.

Pan Lumir kroczy za trumną brata...

„Dzwony — ha, dzwony!!...
Serce — i żyjesz?! — o jakożeś silne!...
Przeklęte serce, potwór krokodyli (!)
Jakże mi ono nie pękło w tej chwili?!!
...Wszędy straszliwie: »wody!... wina!«...

Popiwszy więc wina — bo podniebienie p. Lumira przenosi widocznić wino nad wodę, kiedy nawet wobec zgrozy śmierci go się domaga — poczyna nasz kochany poeta rozumować.

„...Jak smętny Dawid nad Jonathą,
Jak z Czarnolesia śpiewak nad zwłokami
Urszuli cudnej — jak duszą bogatą
W nagwiazdne (!) myśli, zaklęte boleścią,
Yung, Yung — nad synem — tak zalany łzami
Ja płaczę...“ i tak płacze, płacze, płacze biedny pan Lumir, przez kilkanaście stronic — o nudy okropne! aż do końca poematu.

Pyszniej jeszcze przedstawia się drugi poemat, zawarty w tymsamym tomie p. t. Perły. Tematem jego również śmierć — tym razem żony. Dotychczas śmiałem się z poczciwego p. Lumira. Tu począłem się oburzać. Przypomniałem sobie słowa Henryka Aniela: „pewne są rzeczy i uczucia, które należy raczej zbyć milczkiem, aniżeli ohydzić“. Pan Lumir widocznie tego nie zna, bo z pewnością nie napisałby tak okropnego poematu, mającego na celu uczczenie pamięci własnej żony, a będącego właściwie zbrutalizowaniem aktu śmierci i obrzędu pogrzebowego tej niewinnej w tym wypadku osoby.

Żona p. Lumira, Emi, w przedśmiertnych kurczach. (Już sama chwila nie nadaje się na to, aby ją szczegółowo z epicką szerokością rozpisywać).

„Jak dąb gromem rażony — nie, jak auto-
[matu (!!)
posąg bez czucia — staję wobec strasznego
[dramatu!“

A teraz następuje szereg wyrazów, zrymowanych z „automatu“ jak: dramatu, amonjaku, aromatu i t. d.

„Oooj!! — to serce bić musi, musi!... Ono bije!
Patrzcie, musi bić musi... Nie, nie... ona żyje!
Amonjaku, eteru!... uciekam oszaleję!...
zwarjuję!!.., amonjaku... aromatu... i t. d.

Nareszcie żona umiera. Mąż, który podczas tego pienił się i ział frazesami na kilkanaście kartek druku, jak zgłodniały byk w arenie cyrkowej — dochodzi nareszcie do poznania, że tu trzeba... śpiewać:

„Dajcie lutnię, chcę śpiewać, wszystek ból
[wyłonić...
Lutni, lutni! — lżej będzie... muszę się ratować:
Inaczej oszaleję!!...“

Śpiewa więc, śpiewa piosneczki mdłe jak pomadki w guście takich:

„Słowik śpiewa żyjącej słowiczce... poeta
Kochance cudnej śpiewa“...

albo:

„Przyjaciółko dozgonna i umiłownico (!)
Prawa prawdymej duszy! a wieszczko
[natchnienia,
Skąd najwyższej Idei najwyższe me pienia!!...“
(o boska zarozumiałości!)

Wreszcie i to znowu po kilkunastu nudnych jak śmierć kartkach uspokaja się biedak jakotako, przestaje sypać rozpłakanymi frazesami, natomiast nastraja się na ton myśliciela.. filozofuje.. poczyna się zastanawiać nad istotą bytu...

„I wieczność, nieskończoność — duchem
[obejmuję,
I w mózgu mi się miesza...“

Oj wierzę! bardzo wierzę... Nareszcie dochodzi w najwyższej ekstazie twórczej do konkluzyi:

„O, jaki wielki duch mój! — ogarnął
[ramiony
Wieczność i nieskończoność... jako wieczność —
[czuje
I jako nieskończoność — boski, nieskończony,
Nad zenity, nadiry... Szalony, szalony!
O, jakże mały duch mój!...“

A to co? Przed czterema wieczorami duch pana Lumira był wielkim, a nagle ni stąd i z owąd zmizerniał?!...

„Oh! gdybym ja wpierw przejrzał bytu
[tajemnice,
Tożbym“... znowu płakał, płakał, płakał do końca tonem bekliwym, rozmazanym, przypominającym nastrojem swym znany czterowiersz:

„Dudni woda dudni,
W cembrowanej studni.
A dlaczego dudni?
Bo jest woda w studni“.

Po przeczytaniu tego tomu wziąłem do ręki drugi: „Walka Idei — Gwiazda Wschodu — Poema dramatyczne słowiańsko-polskie“. Tym razem postąpiłem jednak ekonomiczniej. Przeczytawszy dedykacyę, w której autor zastanawia się, czy winien swem wiekopomnem dziełem zaszczycić „Polaków, Czechów, Rusów, Litwinów bratnich, Morawów, Serbów i t. d.“ i t. d. — przeczytawszy następnie kilka (a jest ich więcej) mottów, jak sentencye Skargi, Kraszewskiego, Goszczyńskiego,

Krasińskiego, parę angielskich i francuskich — przeczytawszy dalej spis osób głównych, których jest bez liku, nie licząc pułku osób mniej ważnych i szwadronu osób fantastycznych — zobaczywszy wreszcie ze sto kartek komentarza i kilkadziesiąt stronic, zawierających podstawy mitologii słowiańskiej, bez znajomości której dzieło jest niezrozumiałe — rzuciłem pana Lumira w kąt.

Pomyślałem tylko:

Cóż ci złego, panie Lumir zrobiła nasza literatura, że ją tak potwarzysz?.. Biedna zakatarzona duszo...

Echo z Pokucia.

Rozmaici są pracownicy w winnicy Pańskiej; jedni stoją na szerokiej widowni, błyszczą spostrzegani od wszystkich, inni, przez prawdziwie chrześciańską skromność, stoją w cieniu, pracują w cichości, niemniej jednak skutecznie z nieskazitelną poczciwością, a dlatego że nie błyszczą, mało są znani i zasługi ich nie rozbrzmiewają rozgłośnem echem. — To też godzi się sylwetkę jednego z tych ostatnich przypomnieć społeczeństwu polskiemu i postawić jako przykład. dla idących po nas. — Na wschodnich kresach Galicyi, skąd żywioł polski coraz bardziej przez wrogą agitacyę jest wypierany, w Kołomyi, zamieszkał przed laty, Edmund hr. Starzeński. Arystokrata z urodzenia, demokratą był z przekonania, jaśniejąc czystością charakteru i cnotami obywatelskiemi tak wybitnie, że ilekroć podejmowano w powiecie jaką robotę obywatelską, a chciano jej zapewnić powodzenie, starano się zawsze o jego współudział. On, jak pionier na posterunku, czynny i chętny, nie uchylał się nigdy od tych usług. Już pierwsze walne zebranie nowo zawiązanego „Sokoła" obrało go swoim prezesem, którą to godność z wielką dla Towarzystwa korzyścią piastował. W roku 1890 imię jego głośnem stało po wszystkich kraju zakątkach. — Przygotowywano wybory do Rady Państwa, a w całym kraju głoszono, że w Kołomyi wybory dokonają się jedynie za pieniądze. Szlachetniejsza część społeczeństwa chciała dowieść, że przynajmniej chrześciańscy wyborcy nie biorą pieniędzy za głosy. Wtedy ci, którzy dotąd rozdwojeni i niezgodni byli, pod hasłem jego imienia po raz pierwszy w bratnim uścisku dłonie sobie podali, Polacy, Rusini i Niemcy koloniści jak jeden mąż stanęli u wyborczej urny, i stało się, że z 900 głosów zabrakło tylko 3 nieobecnych naszemu kandydatowi Edmundowi Starzeńskiemu, który dla świętości celu, dla zrehabilitowania zaszarganej w kraju opinii swych współobywateli, zgodził się, by postawiono jego kandydaturę, chociaż zgóry wiedział, że walka wobec liczebnej przewagi przeciwnika i wobec smutnej pamięci wpływów z góry, skończyć się musi porażką.

Później widzimy go na czele innej pracy obywatelskiej; grono ludzi dobrej woli postanowiło założyć internat dla ubogich, a nędznie mieszkających uczniów gimnazyalnych. Sprawa szła oporem, ale inicyatorowie tego pięknego dzieła miłosierdzia, które dziś chlubnem jest świadectwem ofiarności polskiej inteligencyi kresowej, założyciele „Bursy polskiej", która od lat 7-miu po 20 wychowuje uczniów, i niedawno do własnego przeniosła się gmachu, znali snać dobrze polskie społeczeństwo, czuli, że nie da upaść dziełu poczętemu w imię miłości bliźniego. I znowu Edmund hr. Starzeński pospieszył z hojnym datkiem na rzecz „Bursy polskiej", brał czynny i gorliwy udział w pracach przygotowawczych i t. p., za co pierwsze zgromadzenie członków Towarzystwa zamianowało go prezesem: i stanowiska tego nie opuścił aż do śmierci, z poświęceniem całem, a świetnym



EDMUND hr. STARZEŃSKI.

rezultatem dla instytucyi pracując. Bursę tak ukochał, że dla przysporzenia jej funduszów, nie szczędził nigdy ani trudu, ani czasu, ani grosza. Własnym kosztem urządził przed kilkoma laty wystawę obrazów i dzieł sztuki, przeznaczając cały dochód na „Bursę". Nie pominął jej też i w testamencie, zapisując na jej rzecz legat 2.000 koron. Imię też jego niezatartemi głoskami zapisało się w krótkich założenia i rozwoju „Bursy polskiej" i w sercach wdzięcznych „Bursaków".

Prócz tego szczególną opieką otaczał młodzieńców, pragnących wiedzy i nauki, wielu z nich jego wyłącznie wsparciu i pomocy zawdzięcza możność ukończenia studyów uniwersyteckich. Nie tu kres jego obywatelsklej działalności. Nie było pracy mającej na celu sprawy dobra publicznego w mieście, powiecie i kraju, do którejby czynnej nie przyłożył ręki. Był członkiem wszystkich Towarzystw miejscowych, o celach humanitarnych, społecznych i narodowych, był kuratorem miejscowych szkół, drzewnej i garncarskiej, często utrzymując stypendystów własnym kosztem. Chcąc zaś trwale zapisać imię swoje w dziejach miasta, w którem znaczną część życia przepędził, założył przed kilkoma laty ze swojej biblioteki, dzieł sztuki, zbiorów starożytności i numizmatycznych muzeum pokuckie, oddając takowe na użytek publiczny.

Zamiarem jego było, oddać to muzeum imienia Starzeńskich na własność rodaków. Niestety. znana apatya nasza dla rzeczy tego rodzaju, świadcząca o braku potrzeb duchowych i umysłowych, kazała mu odstąpić od pierwotnego zamiaru, i pozostawić zbiory synom swoim.

Towarzystwo szkoły ludowej, chcąc uczcić pamięć zacnego męża i zasługi jego przekazać potomności, nazwało swoją świeżo założoną czytelnię imieniem Edmunda Starzeńskiego.

W rodzinnym majątku Mogilnicy wymurował szkołę znacznym nakładem

Najpiękniej może rysował się charakter jego, w życiu prywatnem i codziennem; surowy dla siebie, pobłażliwym i pełnym miłosierdzia był dla bliźnich; serce jego i kieszeń zawsze stały otworem czy to dla sprawy publicznej, czy prywatnej, a czynił to tak skromnie i cicho, że lewica nie wiedziała co czyni prawica. Proszący lub stroskany nigdy nie odszedł od jego progu bez wsparcia i pociechy. Była to dusza chrześcianina-Polaka, wzorowana na wielkich cnotach naszych przodków.

„Bóg i Ojczyzna", oto hasło, które na drogę życia małoletniemu przekazał synowi, oto hasło, pod którem sam pracował na kresach Ojczyzny długie lata, często wśród warunków bardzo trudnych. W zmarłym w r. 1900 ś. p. Edmundzie hr. Starzeńskim zstąpił do grobu jeden z najlepszych synów naszej nieszczęśliwej Ojczyzny. — Niech mu lekką będzie ta ziemia którą tak ukochał, że młodzieńcem jeszcze w owej epoce będąc, wziął żywy udział w walce o jej niepodległość w r. 1863.

Cześć pamięci zasłużonego męża, pokój popiołom Jego.

h.—z.

Polscy kompozytorowie oper i symfonij.

Pod tak szumnym tytułem okazał się w „Przeglądzie tygodniowym“ (a więc piśmie poważnem, po którem spodziewamy się tylko artykułów fachowych i w istocie coś wartych), cały szereg artykulików, uwieńczonych fotografiami naszych muzyków. U nas pisze się o muzyce tak mało, że każdy artykuł muzyczny wzbudza już swojem okazaniem się wielkie zainteresowanie w stosownych kołach. Dlatego i ta nowa praca zajęła nas bardzo, ale doznaliśmy bajecznego zawodu. Bo najpierw nie znaleźliśmy wielu kompozytorów powołanych, którym należało się stanowczo poczesne miejsce w areopagu polskich muzyków, a dalej kilku niepowołanych weszło do niego bez żadnego uzasadnienia, jak ów historyczny Pilat w Credo. Pomijam już całą niedołężność stylistyczną artykułu, jego ton suchy, statystyczny, brak treści i takie kardynalne zdania, jak n. p. „Chopin i Moniuszko byli to kompozytorowie doniosłego znaczenia; nietylko, że pozostawili nam liczne i piękne dzieła, lecz wpłynęli bardzo na powstanie wielu uczelni i instytucyi muzycznych“. Brawo! Autor raczy przyznać, że ten olbrzymi, bajeczny, genialny Chopin jest kompozytorem „doniosłego“ znaczenia i na tem urywa już cały swój pogląd na Chopina. W ten sposób pisze się leksykony albo zadanie szkolne, ale nie poważną pracę.

A dalej między kompozytorami tak znanymi, jak Żeleński, Noskowski, Padarewski, Müncheimer i Stojowski znaleźlimy n. p. jak na ironię nazwisko p. Stanisława Bursy. Cenimy bardzo zamiłowanie p. Bursy do muzyki, którą zajmuje się po amatorsku, tak jak i wiele innych ludzi mniej lub więcej znanych, ale przecież to jest mocno śmieszne stawianie w areopag polskich kompozytorów o p e r i s y m f o n i i p. Bursy, który skomponował dotychczas parę mniej lub więcej dobrych chórów.

I pytam się dalej, dlaczego pominięto Jana Galla, jednego z największych polskich pieśniarzy, którego pieśni są ogromnie kochane nietylko u nas, ale i w całych Niemczech?

Czy szanowny autor artykułu nie słyszał nigdy o niejakim Janie Gallu, który jest olbrzymim panem w kompozycyi chóralnej, a który jeden potrafi z naszych pieśni ludowych zrobić prawdziwe cacka kompozycyi.

Czy szanowny autor nie wie, że pieśń niejakiego Jana Galla „Dziewczę z buzią jak malina“ obleciała cały świat i jest wogóle więcej znana, jak cały szereg oper naszych kompozytorów?

Prócz Galla mamy jeszcze przecież i drugiego wielkiego pieśniarza Stanisława Niewiadomskiego. Wydał on już parę cyklów pieśni a są między niemi rzeczy ogromnie piękne, oryginalne, choć we wszystkich gra nasza swojska nuta.

Radzę autorowi artykułu, przerobić sobie (jeżeli jest w istocie muzykiem) cykl jego pieśni do słów Konopnickiej „Jaśkowa dola“ a może uzupełni jeszcze swoją cenną pracę kilkoma znanemi imionami, a wyrzeknie się tych albo narzuconych, albo wziętych wskutek ignorancyi... Wogóle spotykamy się coraz częściej w publicystyce z ignoracyą, brakiem smaku i estetyki i z mydleniem oczu szerszego ogółu.

b.—m.

O tak zw. powrotnej fali romantyzmu.

(Z powodu wystawienia „Romantycznych“ Rostanda).

Niedawno temu rozbrzmiał wszędy krzyk:

— Świta! patrzcie: na niebie twórczości literackiej, przesłoniętem ołowianemi chmurami symbolizmów, mistycyzmów, parnazeizmów i innych dekadentyzmów, wybłyskać poczyna jasne słońce romantyzmu!

I wszędzie radość zapanowała.

— Dosyć już mam tych poezyi pustych dźwięków, abstrakcyi, symbolizmów i allegoryi, poezyi dreszczów; witaj jutrznio, witaj nam świetlana poezyo, wskrzeszająca pamięć nieśmiertelnych Byronów, Hugów, Schillerów i Mickiewiczów!

Co za powód takiej radości?

Powód wytłumaczalny: radość ta była reakcyą przeciw oddaleniu się poezyi od ogółu, od wyobrażenności ogółu, przeciw twierdzeniu, iż prawdziwa poezya może być zrozumianą jeno przez „duchy bratnie“, a „mydlarzom“ starczyć ma chleb powszedni, a jeśli się im już koniecznie zachciewa literackiej twórczości, niech się rozkoszują „bibliami pauperum“.

I oto powód, dlaczego z takim entuzyazmem przyjęto „romantyczne“ utwory Hauptmana (Hanusia, Dzwon zatopiony), dlaczego się tak rozczulano nad Rostandem, dlaczego wreszcie pani Gabryela Zapolska czuła się natchnioną do ułożenia najnowszego swego „głębokiego“ aforyzmu, iż „publiczność lwowska jest bardzo muzykalną i... romantyczną“.

Bo te wszystkie oklaski, do których romantycznej publiczności ręce się składały, to nie potwierdzenie genialności romantyka (w tym wypadku Rostanda), ale negacya, protest przeciw „poronionym“ i „kompletnie niezrozumiałym“ tworom „modernistów“. Bo Rostand — to nie głęboki, ciężki, ponury myśliciel Ibsen, to nie symboliczny, histeryczny, „okropnie nudny“ Maeterlinck, to nie „dziki“, dreszczem przejmujący, psychicznie do niemożliwości sytuacyę napinający Przybyszewski — to taki słodki, przyjemny pan, którego się tak miło słucha, który nie każe się umysłowi widza natężyć, ba sam nawet mu myśl zasadniczą na końcu sztuki wyłuszczy, który daje

„trochę burz i łez, co wnet mają kres...“
ale za to dużo, bardzo dużo
„słodyczy drogich warg, złotych marzeń rój...“ dużo
„szelestu wiewnych szat i poezyi świat...“
dużo
„zniknych snów i mar ów naiwny czar...“

słowem nieskończenie wiele tego balsamu, którym się każdy przeciętny widz łatwo upoić może ale który mu potem wcale nie przeszkadza z największym spokojem ducha spożyć wyśmienitą kolacyjkę, lub przeczytać do snu dziennikarską kronikę.

Tak to wszędy święci się powrót tych błogosławionych czasów „der blauen Blume“ i „der dunklen Gefühle“; wszędy brzmi okrzyk radości: oto przez koryto twórczości poetycznej przepływa obecnie p o w r o t n a f a l a r o m a n t y z m u!

— — — — — — — — — — — — —

Lecz przypatrzmy się jej bliżej. Już Schlegel, ten pionier romantyzmu niemieckiego jako jedną z najistotniejszych cech poety wytknął jego bezpośredniość w doznaniu uczuć, jego szczerość, graniczącą niemal z naiwnością. „Der Dichter, wenn er auf dem Dreifuss der Musen sitzt, ist nich bei Sinnen, sondern lässt wie eine Quelle alles Zuströmende willig von seinen Lippen fliessen“. I to było zarazem cechą charakterystyczną poezyi romantycznej. Rozsądek klasyka ustąpił bezpośredniemu odczuciu romantyka.

Jestże ta cecha zawartą również w poezyi Rostanda? Nie. — To poezya, przepuszczona przez filtr mózgu. To igranie z uczuciem, bawienie się nastrojami, to o b m y ś l o n a romantyczność. A zatem pseudo-romantyczność. Ci ludzie, którzy tak poetycznie na scenie mówią, są r o z r o m a n s o w a n i, nie z swej istoty romantyczni.

Ale Rostand, ten genialny fabrykant illuzyi, narzuca widzom czy czytelnikom swą obmyślaną, zewnętrznymi środkami scenicznymi wywołaną poezyę z taką siłą, iż często się zapomina o tem, iż ta poezya nie jest bezpośrednią, uczuciową, wewnętrzną, koniecznością tworzenia spowodowaną; ale obmyślaną do najdoskonalszych szczegółów, cyzelowaną, sztuczną. Dlatego też działanie takiej poezyi jest czysto zewnętrznem: nęci oko malowniczością obrazów, łechce ucho dźwięcznością rymów, ale na duszę nie działa. Bo to poezya „ładna“, ale nie głęboka, bezpośrednia. O niej to powiada Platon: „Kto się bez szału Muz zbliża do bram Poezyi w mniemaniu, iż s z t u k a s a m a go poetą uczyni, ten jest niezupełnym i nie wnika w świętości; poezya trzeźwego niczem jest wobec poezyi szału“.

A takim poetą „trzeźwym“ jest Rostand i dlatego nie jest romantykiem w ścisłem tego słowa znaczeniu t. j. z temi cechami, które znamionują poetów, działających na początku XIX stulecia.

I tak nietylko Rostand. Wszyscy ci, którzy mają oznaczać w poezyi tegoczesnej zwrot do romantyzmu, nie są romantykami. Temsamem jednak nie powiadam, iżby byli bez znaczenia, talentu, ba nawet genialności.

Pragnę tylko na jednym przykładzie uzasadnić, iż illuzoryczną jest nadzieja, jakoby możliwym był powrót do tej świetnej, minionej epoki. Romantyzm b y ł; nie należy go wskrzeszać sztucznymi środkami, bo każdy głębiej myślący a przedewszystkiem znający różnicę zachodzącą między oboma epokami, romantyczną i tegoczesną, pozna się na sztuczności owego rzekomego „romantyzmu“.

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Władysław Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Ubrania frakowe i salonowe wypożycza S. BAUM — Lwów, Sykstuska 8.

Rynek liczba 14.

Obok przystanku kolei elektrycznej.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, iż ponownie otworzyłem we Lwowie

w Rynku liczba 14

obok samego przystanku kolei elektrycznej i filii fabryki cukrów Brandstädter & Singer

Wyrąb mięsa wołowego

najlepszego gatunku z wołów wypasanych własnego tutejszego bicia

jakoteż mięsa cielęcego

Ceny najumiarkowańsze.

Zapewniając za szybką usługę, upraszam uprzejmie o łaskawe odwiedziny i kreślę się

Z głębokim szacunkiem

2—3 **E. Römer**

Obok filii fabryki cukrów Brandstädter & Singer.

Rynek liczba 14

Spółka owocarska w Nadwórnie

Stowarz, zarejestr. z ogr. poręką poleca

Szampan jabłkowy butelka	zł.	1·50
Wino jabłkowe „	„	—·25
„ „ 1 l.	„	—·22
„ gruszkowe butelka	„	—·27
„ „ 1 l	„	—·30
„ porzeczkowe białe i czerwone butelka	„	—·45
„ porzeczkowe białe i czerwone ½ butelki	„	—·25
„ borówkowe butelka	„	—·65
„ „ ½ butelki	„	— 35
Konfitury malinowe, ożynowe, śliwkowe, jabłkowe, dereniowe, z rajskich jabłek ½ kg. słoik	„	—·70
Powidła śliwkowe słoik	„	—·35
„ gogodzowe słoik	„	—·35
Galareta jabłkowa	„	—·45
Powidła śliwkowe przecierane 1 kg	„	—·36
Śliwki suszone 1 kg	„	—·28
Gruszki kandyrowane 1 kg.	„	1·—
Sok malinowy 1 l.	„	1 60
Miód górski w słoikach po 32, 50, 80 i	„	1·15
Miód górski 1 kg.	„	—·70
Jabłka 1 kg. 10 ct do	„	—·18
Gruszki 1 kg. 10 ct. do	„	—·12

Prosimy o łaskawe poparcie naszych dążności. 2—2

Sklep Spółki mieści się w tut. ratuszu.

Wspierajmy Przemysł krajowy.

Krajowy Związek przemysłowy Krajowa Agencya przemysłowa.

Poleca w największym wyborze:

Płótna od najgrubszych do najcieńszych, apretowane i nieapr. **Bielizna** stołowa, cierki, ręczniki, chustki, drelichy. **Płócienka** kolorowe. **Sukna** modne i na ubrania studenckie i sokole. **Burki** i bundy sławuckie. **Koce** na łóżka i konie. **Portyery i firanki. Kilimy**, makaty buczackie **Kosze i kufry**, meble bambusowe. **Wyroby powroźnicze. Majolika** kołomyjska i rzeźby. **Gotowe** ubrania męskie i wyprawy. 17—24

W Bazarach: we Lwowie ulica 3-go Maja l. 5., w Krakowie Rynek l. 20., w Nowym Sączu, w Przemyślu, w Tarnopolu.

L. J. Malewski

we Lwowie, ul. Ormiańska l. 12.

poleca wyrabiane w swej fabryce

KORKI

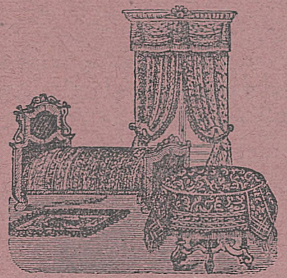
do beczek i butelek

w lepszej jakości od zagranicznych, jakoteż drzewo korkowe, koła do mielenia jagieł, oraz podeszwy i koreczki damskie. 6—12

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.

(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 7—44

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE"

„PRIMUS"

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2

11—52

61

lat istniejący

Handel sukna i towarów wełnianych modnych

poleca

Jan Wallach i Syn

Lwów — Rynek 33.

10—12

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy B nku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

3—52

Franciszek Zeizer

właściciel fabryki wyrobów stolarskich

otworzył

MAGAZYN MEBLI WŁASNEGO WYROBU

we Lwowie, ul. Wałowa ll.

Posiada na składzie orzechowe i mahoniowe urządzenia, jako to: jadalni, sypialni, salonów itd. z najlepszego materyału po najtańszych cenach i poleca się łaskawym względom P. T. Publiczności. 9—12

WĘGIEL

GÓRNOSZLĄSKI I WĘGIERSKI

całemi wagonami oraz częściowo

u firmy

K. GOSTYŃSKI i J. ALS

we Lwowie, Czarnieckiego l. 3.

(Węgiel węgierski przeszło 30% tańszy).

Drzewo na opał bukowe i sosnowe.

Telefon Nr. 537. **Telefon Nr. 537.**

12—14

DRUKARNIA

„DZIENNIKA POLSKIEGO"

(Dra Feliksa Woynarowskiego)

we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

(obok placu Chorążczyzny)

przyjmuje do wykonania

wszelkiego rodzaju druki

jako to:

Czasopisma, Dzieła, Sprawozdania, Tabele gospodarskie, Kwitaryusze, Spisy potraw, Cenniki, Rachunki, Bilety wizytowe, Koperty wizytowe, Koperty, Listy, Afisze i t. p.

i wogóle wszelkie w zakres drukarstwa wchodzące roboty po cenach nader przystępnych.

Zamówienia tak miejscowe jakoteż zamiejscowe wykonują się w najkrótszym czasie.

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO
dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 3—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Biura Związku gal. producentów

„ROPY“

stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką

znajdują się

we Lwowie, ul. Chorążczyny l. 17.

(Dom naftowy) I piątro. 7—10

WYŁĄCZNY SKŁAD I SPRZEDAŻ

„NAFTY BEZPIECZEŃSTWA“

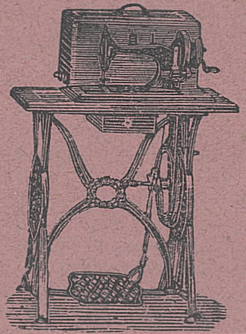
HERMAN GOTTLIEB 12—12

w Przemyślu, ul. Franciszkańska l. 26, (obok wieży miejskiej).

Ferdynand Güttler
Magazyn towarów modnych
Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	Boa gazowa	Aplikacye
Wielki wybór	Szale jedwabne	Pasmanterye
Ceny niskie	Żaboty	Paski
	Weloniki	Gorsety.

12—52



Handel towarów żelaznych, metalowych i wyrobów nożowniczych.

KAROLA HAUSWALDA
w Stanisławowie

poleca główny skład maszyn do szycia poprawnych **SINGERA** i innych systemów pod gwarancyą po cenach przystępnych na raty miesięczne, za gotówkę 10% opustu, jakoteż kasy ogniotrwałe. 10—12

Handel A. Hawełki
Kraków

poleca towary kolonjalne, wszelkie delikatesy polskie, francuskie, angielskie, włoskie i amerykańskie.

Kompletne dostawy dla rautów, bankietów i wesel. — **Gabinety** dla zebrań towarzyskich.

Telegram: *Hawełka, Kraków.* — Telefon 330.

NA SEZON ZIMOWY!

Węgiel
mysłowiecki górno-śląski

SALONOWY

GRUBY i KOSTKOWO PŁUKANY

najodpowiedniejszy dla opalania **pieców i kuchni**, wagonami i w workach plombowanych **z dostawą do domu**

dostarcza bezpośrednio i po cenach obniżonych

H. DATTNERA
Biuro pierwszorzędnych kopalni węgla kamiennego

Lwów, Gródecka 3 a, Telefon 390.

NA SEZON ZIMOWY!

6—6

Światowa wystawa. — Paryż 1900.

Odznaczenie na wielu wystawach!

Złoty medal! Złoty medal!

DOSKONAŁE
wina dalmatyńskie, chorwackie i styryjskie stołowe, deserowe i kuracyjne

poleca

ręcząc za ich prawdziwość i naturalność

SKŁAD WIN

Braća Didolić
Lwów, ul. Czarnieckiego l. 3.

Pokój do zebrań towarzyskich!

3—12

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN
we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 13—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.